

— Szukałem cię — rzekł bez dalszych wstępów. — Zachodzą poważne okoliczności. Odpowiadaj mi szczerze. Czy od czasu, jak jesteś tutaj, zauważyłeś jakiego innego mężczyznę, oprócz służących Niemców, których tu umieściłem?

— Ależ nie. Nikogo!

— Zastanów się dobrze. Nie mówię o żadnym gościu. Ale czy niema tu nikogo, kto by się ukrywał, o czyjej obecności byś ty wiedział — mniej nawet — czyją obecność ty byś podejrzewał, na mocy jakiejś wskazówki, a choćby tylko wrażenia?

— Nie... Ale czyby pan?...

— Tak. Ktoś się tu ukrywa... ktoś tu się snuje... Gdzie? I kto? I w jakim celu? Nie wiem... ale wiedzieć będę. Mam już swoje przypuszczenia. Ze swej strony i ty uważaj... czuj... ale przede wszystkim, ani słowo o tem do pani Kesselbach... Nie trzeba jej niepokoić.

I poszedł dalej.

Piotr Leduc poruszony, wzburzony, zawrócił do zamku.

Po drodze, na brzeжку trawnika spostrzegł niebieski papier. Podniósł go. Był to telegram, nie pognieciony, jak papier, który się wyrzuca, ale starannie złożony — zgubiony najwyraźniej.

Telegram zaadresowany był do pana Beauny. Pod tem imieniem Lupin znany był w Bruggen. Zawierał zaś te słowa:

„Znamy całą prawdę. Listowne wyjaśnienie niemożliwe. Jadę dziś wieczornym. Bądź jutro rano ósma dworzec Bruggen“.

— Doskonale! — uśmiechnął się Lupin, który z poza pobliskiego kłombu obserwował Piotra Leduca. — Doskonale! Za dwie minuty ten głuptas pokaze telegram Dolores i wszystkie moje obawy jej powtórzy. Będą o tem cały dzień gadali, a tamten to posłysz... tamten się dowie, ponieważ on wszystko wie, ponieważ on żyje w cieniu Dolores, a Dolores jest w szponach jego, jak urzeczony ptak. A dziś w nocy on zabierze się do działania, gdyż będzie się bał tajemnicy, którą ja mam poznać.

Oddał się, pośpiwując.

— Dziś wieczór... dziś wieczór... to będzie bał!

U drzwi pawilonu zawołał Oktawiusza, poszedł do swego pokoju, rzucił się na łóżko i rzekł:

— Siądź sobie tu na krześle Oktawiuszu i nie śpij. Twój pan musi wypocząć. Czuj nad nim, wierny sługo!

Przespał się zdrowo.

— Jak Napoleon przed bitwą pod Austerlitz! — rzekł, obudzony się.

Była to pora obiadowa. Zjadł obficie, wypalił papierosa, obejrzał broń i zmienił ładunki w obu rewolwerach.

— Suchy proch na panewce i bagnet wyostrzony! Ha... ha... Oktawiuszu!

Nadbiegł Oktawiusz.

— Idź, zjedz obiad w pałacu ze służbą. Obwieść im, że jedziesz dziś na noc do Paryża, autotobilem.

— Z panem?

— Nie, sam. I jak tylko zjesz, wyjedziesz rzeczywiście, tak, żeby wszyscy widzieli. Za parkiem przystaniesz, na drodze, na pierwszym kilometrze. Tam czekaj na mnie. Długo będziesz czekał.

Wypalił jeszcze jednego papierosa, spacerował, przeszedł koło zamku, przekonał się, że się świeci w pokojach Dolores i wrócił do pawilonu. Czytał trochę, kręcił się, nareszcie o jedenastej poszedł do siebie.

Wychylił się jeszcze przez otwarte okno i odechnął cichem, jasnym powietrzem nocy. Jakies mętne wspomnienia cisnęły mu się do duszy, jakies słowa miłosne, czytane lub też mówione niegdyś, tłoczyły mu się na usta i kilka razy cichutko, cichutko wyszeptał imię Dolores, nabożnie, tkliwie, jak młodzieniec, który imienia ukochanej nawet ciszy nocnej powierzyć nie śmie.

— Czas już — rzekł sam do siebie — czas się już przygotować.

Nie domknął okna, usunął stoliczek, stojący na drodze i schował broń pod poduszkę. Potem zaś

spokojnie, bez żadnego wzruszenia położył się, ubrany do łóżka i zagasił świecę.

I zdjął go strach.

Natychmiast, zaledwie ciemności go ogarnęły, zaczął się trwożyć. Strach pętał ku niemu w ciemności, obejmował go, szarpał.

Na zegarze wiejskim wybiła dwunasta.

Lupin rozmyślał o tem brudnym stworzeniu, które gdzieś, może o sto lub pięćdziesiąt kroków stąd, gotowało się, próbowało ostrza sztyletu.

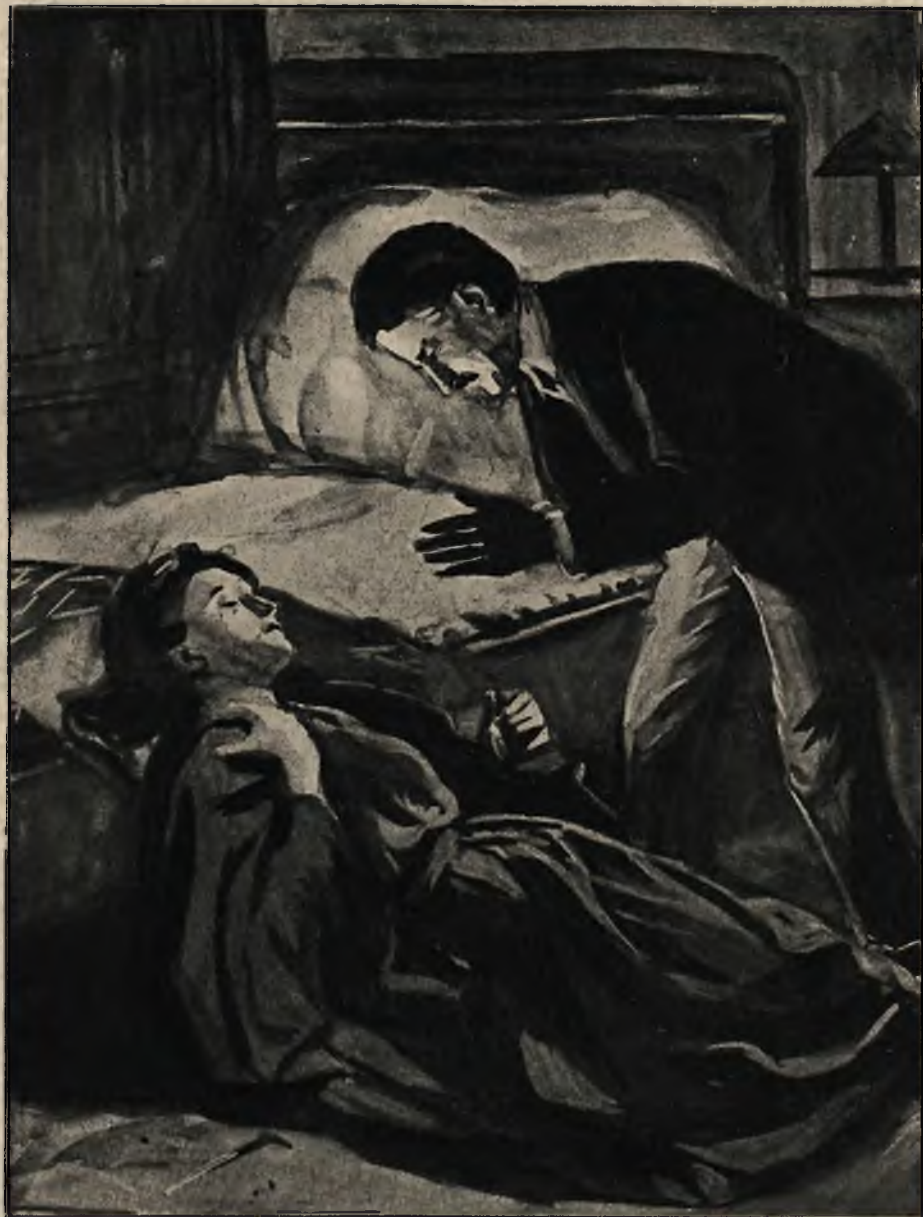
— Niechżeż już przyjdzie!... Niechżeż już raz przyjdzie! — szeptał, drząc cały — a rozwieją się te widma!

Wybiła pierwsza.

I ciągnęły się długie minuty, nieskończone minuty, niosąc gorączkę i lęk... Krople potu spływały mu po czole, a wydawało mu się, że to krwią zlewa się cały.

Druza godzina...

I oto gdzieś, tuż w pobliżu, odezwał się cichy szelest, szelest poruszonych liści, ale nie liści, poruszonych wiatrem nocy.



Światło padło na twarz potwora... Dolores Kesselbach.

Tak, jak to Lupin przewidział, ogarnął go odrazu ogromny spokój. Zadrżała w nim radością dusza awanturnicza. Otóż i walka nareszcie!

Odezwał się inny szmer, wyraźniejszy teraz, pod oknem, ale tak słaby jeszcze, że tylko wprawne ucho Lupina dosłyszeć go mogło.

I znowu minuty całe... straszne minuty... Ciemności były zupełne. Nie rozpraszały ich ani gwiazdy, ani blask księżyca.

I nagle, choć nie usłyszał niczego, odczuł, że tamten jest w pokoju.

I że szedł ku niemu. Szedł, jak idzie duch, nie trącając powietrza, nie potracając sprzętów. Ale całym swoim instynktem, całą mocą swoich nerwów Lupin odgadywał ruchy wroga i bieg jego myśli nawet.

Sam nie poruszał się, przyciśnięty do ściany, klęcząc prawie, gotów do skoku.

Czuł, jak cień muska go, maca postanie, chcąc sobie zdać sprawę, w które miejsce ma uderzyć. Słyszał jego oddech. Zdawało mu się nawet, że słyszy bicie serca. I z dumą przekonywał się, że serce jego nie bije wcale mocniej, podczas gdy serce tamtego... O tak! słyszał dobrze, jak tłucze się to serce wzburzone, to serce rozszalałe — jak serce dzwonu o spiżowe boki...

Tamten wznosił rękę... Czy bierze go na cel? Czy waha się? Czy może znowu chce oszczędzić wroga?

W tej wielkiej ciszy odezwał się głos Lupina: — Uderz nareszcie! Czemu nie uderzasz?!

Rozległ się okrzyk wściekłości... i dziki, przeraźliwy, obłądny śmiech... śmiech, od którego temu, co słyszy, włosy powstają na głowie i serce drży przed dzikim szaleństwem piekiel.

A potem jęk. I więcej nic...

Lupin ramie, które spadło, jak pod naciskiem sprężyny, uchwycił w samej kostce... I wyskakując z łóżka, straszny, niezmierzony, chwycił tamtego za gardło i rzucił go o ziemię.

I tyle tylko... Nie było walki. Nie mogło być. Tamten leżał na ziemi, przykuty, przygwożdżony chwytem stalowych rąk Lupina. Najsilniejszy nawet nie oparłby się tym ręką.

Milczenie zupełne. Lupin nie odczuwał w tej chwili ani śladu radości próżnej, ani też uniesienia zwycięzcy. Pilno mu jedynie było dowiedzieć się, kto to jest... czy Malreich, ten skazaniec? czy może kto inny? Ale kto taki?

Nie myśląc o tem, że może zadusić człowieka, ścisnął mu gardło coraz, coraz mocniej.

I poczuł, że cała siła jego wroga, cała reszta jego siły uchodzi. Muskły ramienia rozprężyły się, bezwładne. Ręka zwolniła z kurczowego ujęcia i upuściła sztylet.

Wtedy, odzyskawszy swobodę ruchów, trzymając życie wroga w żelaznych kleszczach swych palców, Lupin drugą ręką dobył z kieszeni latarkę i nachylił ją nad wrogiem.

Nacisnął sprężynę. Suchy trzask. Światło padło na twarz potwora.

Lupin wydał ryk przerażenia.

Dolores Kesselbach!

Rozdział VII.

W głowie Lupina rozszalał się jakiś huragan, jakiś orkan; było mu, jak gdyby w łaskocie grzmotu, w porywach wichury, w burzy rozpętałych żywiołów tworzyła się noc czarna chaosu.

I wielkie, krwawe błyskawice rozdzierały cienie. I przy świetle tych błyskawic Lupin przerażony, dreszczem wstrząsany, grozą przejęty, patrzył — i starał się rozumieć.

Nie poruszył się z miejsca, przyczepiony do gardła wroga, jak gdyby stężale palce rozprostować się nie mogły. A zresztą, choć teraz już wiedział, nie miał niejako dokładnego wrażenia, że to jest Dolores. Był to wciąż jeszcze dla niego tamten, ten czarny nieznan, Ludwik de Malreich, nieczysty potwór ciemności; i tego potwora trzymał, tego potwora puścić nie chciał... nie mógł.

Prawda jednakże szturmowała do jego mózgu i do jego świadomości, aż zwyciężony, udreńczony, szepnął:

— O Dolores!... Dolores...

Odrzuć ujrzał wytlómaczenie... odrzuć uniewinnienie. Toż to był obłąd. Obłąkaną ona była. Siostra Altenheima i Izildy, córka ostatnich Malreichów, matki waryatki i ojca pijaka i ona sama była obłąkaną. Dziwną obłąkaną, obłąkaną z wszystkimi pozorami zdrowego rozumu, ale jednak obłąkaną, bez równowagi moralnej, chorą, zwyrodniałą, prawdziwie potworną istotą.

Zrozumiał to z całą pewnością. Był u niej obłąd zbrodniczy. Pod hypnozą celu, do którego zmierzała automatycznie, mordowała, chciwa krwi, nieświadoma, a piekielna...

Zabijała, bo czegoś chciała, zabijała w obronie własnej, zabijała, by ukryć, że zabijała...

Ale zabijała także, a nawet przedewszystkiem, dla zabijania. Morderstwo nasycalo w niej nagłe i nieodparte zachcenia. W pewnych chwilach życia, w pewnych okolicznościach, wobec niektórych osób, które w danej chwili stawały się wrogiem, ręka jej musiała zadawać śmiertelne ciosy.

I zadawała je, pijana szaleństwem, z dziką zapalczywością.

(Ciąg dalszy nastąpi).